

Adrianna Ginał, Anna Szulc: Pani w kapeluszu (niekoniecznie ostatnim)

Ma ich całą kolekcję. W gruncie rzeczy kapeluszy bardzo wyjątkowych, bo kto dziś nosi na co dzień kapelusze? I bardzo krakowskich. Tak jak krakowska jest Anna Szałapak, jak Lajkonik, którym się opiekuje, jak legendy i tajemnice Krakowa, o których napisała książkę, jak szopki, które uwielbia i o które dba – piszą Adrianna Ginał i Anna Szulc w książce „Krakowscy czarodzieje”.

Kraków ma wiele cudów, a jednym z nich jest krakowska szopka. Bajkowa, świecąca, z Wieżą Mariacką, Sukiennicami, czasem z Lajkonikiem i zionącym ogniem smokiem wawelskim, wreszcie teatrem boskim i ludzkim. Co ważne, nad cudami stworzonymi z cynfolii, wyobraźni i kolorowych papierków po czekoladzie czuwa osoba nie całkiem z tego świata.

– Po prostu Anioł – mówiła o niej warszawianka Agnieszka Osiecka. Anioł Biały, kiedyś piwniczny, rozśpiewany i stale zmieniający kapelusze. I przekonany, że życie ludzi pod Wawelem przypomina nieco scenę z krakowskiej szopki – zmieniają się rekwizyty, przychodzą i odchodzą kolejni bohaterzy, ale to, co najważniejsze, ludzkie i boskie, trwa nieprzerwanie.

Anna Szałapak lubi opowiadać o szopkach i śpiewać na ich tle. Po drugie, dlatego że z racji zawodu etnografa i posady kustosza w Muzeum Historycznym miasta Krakowa opiekuje się nimi od lat, pilnuje, by co roku z początkiem grudnia stało się zadość unikatowej tradycji. I na Rynku Głównym w Krakowie do konkursu stanęli twórcy szopek wielkich i maleńkich, tych ze złotą jak popołudniowe słońce, strzelistą Wieżą Mariacką i równie złotą, lecz brzuchatą kopułą Kaplicy Zygmuntońskiej. I tych z Barbakanem i Bramą Floriańską z błyszczącą folii po ekskluzywnych bombonierkach, z Dzieciątkiem Jezus, Herodem, Diabłem, Śmiercią, ale też miniaturowym Panem Twardowskim, Wandą „co nie chciała Niemca”, Kopernikiem, Janem Pawłem II, artystami, kwiaciarkami krakowskimi, politykami, dorożkarzami, hejnalistą, gwiazdami, tymi z Betlejem i z pierwszych stron kolorowych czasopism. Z korowodem postaci znanych i nieznanymi, ludźmi, którzy z Krakowa już odeszli i tych, którzy jeszcze długo nie odejdą. I tymi, którzy może za chwilę przyjdą.

Szopka krakowska to dla Anny Szałapak jej miasto w pięknej, symbolicznej miniaturze

Po pierwsze jednak, Anna Szałapak ma słabość do szopek, bo urodziła się w sercu krakowskiej dzielnicy Krowodrza,

przy ulicy Mazowieckiej. Dzielnicy mieszczan, robotników i ogrodników, willowych domków, zielonych osiedli, nieistniejących już pól z pomidorami i sałatą, sadów z jabłonią i czereśniami. Kiedyś także dzielnicy Stanisława Wyspiańskiego, którego w ciągłym pośpiechu, ale czasem zamysłonego zapamiętała dobrze babka Anny. Jak również dzielnicy podmiejskich majstrów, co zimą z nudów i braku pieniędzy majstrowali, a częściej wyczarowywali z kolorowych

papierków najpiękniejsze w świecie bożonarodzeniowe budowle. A potem odwiedzali z nimi szacowne mieszczańskie kamienice. Przy Mazowieckiej mieszkał więc malarz i kaflarz Michał Ezenekier, który tworzył pierwsze, doskonałe w proporcjach i samym zamyśle szopki krakowskie, w domu rodzinnym Anny pojawiał się inny mistrz szopkarski Franciszek Tarnowski. Babcia pieśniarki przyjmowała majstra z szacunkiem, należnym każdemu prawdziwemu artyście. Sama prowadziła sklep: spożywczy, kolonialny.

– Była silna i niezależna jak większość kobiet z mojego rodu, pracowita i dobra – wspomina Anna Szałapak. – Nikt, nawet ten, kto akurat nie miał przy sobie pieniędzy nie wychodził z jej sklepu z pustymi rękami. Miała wielkie serce.

Tak wielkie, że kiedy w czasie wojny ktoś z jej rodziny został aresztowany, w sklepie pojawił się znany w okolicy drobny złodziejasek. Przedstawiciel dzielnicowego lumpen-proletariatu. Nie po to jednak, by coś zwędzić, lecz by zaoferować pomoc, jak się później okazało bardzo skuteczną.

Po trzecie wreszcie szopka krakowska to dla Anny Szałapak jej miasto w pięknej, symbolicznej miniaturze. Miasto mocno osadzone w tradycji, stworzone kunsztownie i misternie, baśniowe ze swej natury, ale także trącające myszką, hermetyczne, nieufne nowinkom, czasem obce dla obcych. Ze swoimi świętymi gwiazdami nad zabytkowymi, często dziurawymi dachami, świętym kamieniem (czakramem), świętymi ludźmi, procesjami i hulankami, ze swoim ciągłym świętowaniem. I świętym także teatrem życia, który tak często i chętnie ci, którzy się tu urodzili lub zatrzymali na dłużej, lubią zamieniać w stałe misterium.

Jak robił to jeszcze tak niedawno Piotr Skrzynecki, a za nim cała Piwnica pod Baranami, gdzie po raz pierwszy zaśpiewała Anna Szałapak, choć całe życie sądziła, że będzie tylko tańczyć. Trafiła do podziemi wprost z sekcji baletowej zespołu Słowianki, zaraz po tym, jak umarł Wiesław Dymny, a wielu dawnych, piwnicznych artystów rozeszło się w różne strony. I po tym, jak złamała palec, co zaprzepaściło plany i ambicje młodej tancerki. Szybko zapełniła pustkę, po tych, którzy odeszli, w dusznych od papierosów i pomysłów wnętrzach kabaretu śpiewając pieśni, pisane właśnie dla niej. Została w piwnicy długo, prawie dwie dekady, dla jej atmosfery, dla tych, co przychodzili, by posłuchać, jak śpiewa słowno-muzyczne perły, tworzone przez najsłynniejszych piwnicznych poetów i kompozytorów. Została przede wszystkim dla Piotra Skrzyneckiego, który z czasem stał się jej wielkim przyjacielem. Jak mawiano często, z przymrużeniem oka... „narzeczonym”. Bo bywali, zwłaszcza na początku jej istnienia w Piwnicy prawie nierozłączni.

Skrzynecki pokazywał jej Kraków, jakiego dotąd nie znała. Prowadził do szacownych i mniej szacownych domów, w których do rana prowadziło się długie, twórcze dysputy przy winie, wódce i kawie, gdzie rozmawiało się o Próbach Montaigne’a, czytało Miłosza i wyśmiewało absurdy nie-realnego socjalizmu. Fascynował ją świat Piotra, jego wewnętrzna radość istnienia, zachwyty nad ludźmi i przedmiotami, ale także zupełny brak przywiązania do tego, co materialne. Ona nie potrafiła tak żyć, musiała mieć własne miejsce, pracę i marzyła, aby wreszcie się wyspać.

A tymczasem śpiewała i śpiewała. Piosenki do muzyki Koniecznego, który wcześniej komponował dla Ewy Demarczyk, Jana Kantego Pawлуśkiewicza i Zbigniewa Preisnera, który „ubrał” Annę Szałapak w „Czarną sukienkę”. Choć ona, w przeciwieństwie do Demarczyk, zwanej

*Anna Szałapak stała się, jak
napisała kiedyś jej
przyjaciółka Agnieszka,
„Białym Aniołem (...)
odzianym w pelerynę z rudych
włosów”*

Czarnym Aniołem
Piwnicy, nigdy czerni
nie polubiła. Lubiła
za to czasem sobie
pożartować, choćby
na podstawie
wycinków prasowych
wyśpiewać notatkę o
publicznych
występach żony

Edwarda Gierka, a na nutę słynnej piosenki Hanki Ordonówny,
zapewniać słuchacza, że „partia mu wszystko wybaczy”. Za co zresztą
nie przyjęto jej na wcześniej obiecaną pierwszą w życiu posadę w
Muzeum Etnograficznym.

A potem Anna Szałapak poznała Agnieszkę Osiecką. Znajomość bardzo
szybko przerodziła się w przyjaźń.

– Może dlatego, że tak jak Piotr, Agnieszka także potrafiła cudownie
wysłuchiwać się w ludzi – wyjaśnia pieśniarka. – Przebywanie z nią było
wielką przygodą i jeszcze większym darem.

Przebywały ze sobą dużo, rozmawiały, plotkowały, zwiedzały zapadłe
wioski i małe polskie miasteczka, a także światowe metropolie.
Uwielbiały jednak przede wszystkim prowincję, klimat uliczek
prowadzących donikąd, zapach cukierek i sklepików z mydłem i
powidłem. A wszystko zaczęło się znów od poezji, od napisanego przez
Osiecką wiersza Białe zeszyty, po którego wyśpiewaniu Anna Szałapak

postanowiła raz na zawsze porzucić czarne stroje. Stała się, jak napisała kiedyś jej przyjaciółka Agnieszka, „Białym Aniołem (...) odzianym w pelerynę z rudych włosów”.

Z czasem z ludzkiego teatru miasta, z teatru znaczącego dla Anny Szałapak zaczęli znikać jego najważniejsi aktorzy. Umarł Piotr, co sprawiło, że pieśniarka zamknęła za sobą rozdział Piwnicy pod Baranami, umarł także Jerzy Turowicz, jej najwierniejszy słuchacz, który podczas recitali Anny zawsze siadał najbliżej sceny.

– O, Jerzy już jest, jak zwykle w pierwszym rzędzie – lubił mawiać Piotr przed jej występami. – To znaczy, że wszystko będzie się toczyć zgodnie z planem.

Ale się nie toczyło. Bo jej przyjaciele odchodzili za szybko, nie przygotowała się na taki scenariusz, nie miała go w planach. Po śmierci Osieckiej dokończyła program nowego recitalu Żywa woda, dedykując go dwóm najbliższym osobom: Agnieszce i Piotrowi.

Żyła dalej, przeniosła się nawet, co wydawało jej się kiedyś nieprawdopodobne z rodzinnego domu przy Mazowieckiej do mieszkania tuż obok ukochanego Rynku. Wraz z wierszami, fotografiami i kapeluszami po babci i cioci-babci Władysławie Ogińskiej, która uwielbiała przebierać w strojach, a bez kapelusza czuła się niekompletnie ubrana.

– To chyba dziedziczne, bo ja bez kapelusza staram się nie ruszać z domu – śmieje się Anna Szałapak.

*To nieprawda, że już koniec,
że nic pięknego nie może się
w Krakowie przydarzyć*

A ma ich całą
kolekcję, tych
słomkowych, z
kokardami, z
błękitnym
słonecznikiem – od

Agnieszki z Nowego Jorku – aksamitnych, lnianych. Tych od przyjaciół i wielbicieli, znalezionych w prowincjonalnych sklepikach i na głównych ulicach Europy. Kapeluszy, w których pieśniarka chodzi po krakowskim Rynku i występuje za oceanem i w Szczepieszynie. Kapeluszy, które z nią wspólnie śpiewają, tak jak „peleryna jej włosów”, ręce, stopy i białe suknie. W gruncie rzeczy kapeluszy bardzo wyjątkowych, bo kto dziś nosi na co dzień kapelusze? I bardzo krakowskich. Tak jak krakowska jest Anna Szałapak, jak jej pieśni, jej wciąż liczne recitale, jej płyty z wierszami kolejnych przyjaciół, jak Lajkonik, którym się opiekuje, jak Legendy i tajemnice Krakowa, o których napisała książkę, jak szopki, które uwielbia i o które dba. Jak teatr, rozgrywający się na szopkowych scenach, pod osłoną gwiazd, nie zawsze cynfaliowego nieba i starych świętych kamieni.

Kiedyś myślałam, że ze śmiercią ludzi takich jak Piotr wszystko, co ważne w Krakowie, zaczyna się kończyć – wyznaje pieśniarka. – To prawda, nikt nie zastąpi Piotra, tak jak nikt nie zastąpi pod Wawelem Wyspiańskiego, który kiedyś idąc Mazowiecką, ku zdziwieniu mojej babci tak bardzo się śpieszył. I wielu, wielu innych, którzy wspólnie stworzyli misterium mojego miasta. Lecz to nieprawda, że już koniec, że nic pięknego nie może się w Krakowie przydarzyć. Jeszcze przybędzie mu wiele kamieni i wielu artystów. I nowych, wspaniałych szopek. I kabaretów. A może i kapeluszy?

Adrianna Ginał, Anna Szulc

Fragment z książki pt.: „Krakowscy czarodzieje” wydawnictwa Prószyński i S-ka. Publikujemy za uprzejmą zgodą autorek.

Jako ilustrację wykorzystano fragment obrazu Olgi Boznańskiej „W oranżerii”, fot. MNW.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego